

# Bestia i Piękna

*„Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”*

I. Kant

**Czekamy na skrzyżowaniu za miastem.** Podjeżdża facet na motorze. Pytam tłumacza:

- Ten?
- Nie ten.

Znów ktoś się kręci koło naszego samochodu – roześmiana twarz, zagaduje.

- Ten?
- Nie ten.

Podjeżdża trzeci w kasku, podnosi szybkę, ma inne oczy niż ci poprzedni.

- Ten?
- Ten.

Ruszamy. Odbijamy od asfaltowej drogi w czerwony, gliniasty trakt. Jedzie na motorze przed nami - jakieś sto, dwieście metrów - między kałużami, dziurami, wzdłuż soczystych pól ryżowych, mijając kolejnych żebraków, głuchych, niemych, ślepców, pomarszczonych, głodnych, starych z zaschniętymi ranami na łysych głowach, którzy widząc, słysząc lub czując nadjeżdżający pojazd tłuką w garnki albo chlustają przed nim w ziemię wodą z wiadra, prosząc o chwilę uwagi i datek. Prak Khan mknie.

Droga się zwęża i pnie coraz wyżej w górę. Wjeżdżamy w końcu

w zgnitą dżunglę, obmacująca obleśnie coraz to większe skały.

Zatrzymujemy się przy małej, buddyjskiej świątyni. Niżej jakaś wioska, gdakają kury, piszcza dzieciaki, na lewo stromo pod górę wznoszą się schody, tworząc tunel w gęstwinie dżungli.

Mężczyzna zsiada z motoru i zaczyna rozmawiać przez komórkę.

- Gdzie on dzwoni? – pytam tłumacza.
- Do firmy?
- Do jakiej firmy?
- Pracuje jako kierowca ciężarówki.
- Ile wyciąga?
- Mówi, że 25 dolarów dziennie.
- Dziennie?! Jak - policjant zarabia tu 30-50 miesięcznie?
- Tak mówi.
- A po cholere nas tu przywiózł?
- Boi się, że ktoś się dowie w jego wiosce . Wie tylko jego rodzina. Tu się czuje bezpiecznie.

Wchodzi do świątyni, bierze miotłę, zamiata pedantycznie podłogę i siada. Teraz możemy już podejść.

Zapis moich rozmów z katem wyglądałby mniej więcej tak:

- Jest pan buddystą?
- Tak. Chodzę do pagody.
- Czuje się Pan teraz szczęśliwy w Kambodży?
- Tak.
- Ma Pan żonę, dzieci?
- Tak.
- Ile?
- Pięcioro.

A potem:

- Zabił Pan kogoś?
- Nie.
- Torturował?
- Tak.
- Ile osób?
- Koło 20.

- Tylko 20 Przez 3 lata?!
- Tak.
- Brał Pan za to pieniądze?
- Wtedy w Kambodży nie było pieniędzy.
- Graliście w karty po robocie?
- Nie. Nie było czasu.

Staram się nie używać słowa „dlaczego?”, które w języku khmerskim w wielu kontekstach uznawane jest za nietaktowne, natarczywe. Lepiej pytać: jak?gdzie? co widziałeś?

I cały czas te opisy kursywa (*zamyślenie, szuka ognia, odpala papierosa, rozmawia przez telefon, zamyślenie, zabija klapsem komara na plecach tłumacza*).

Wynikałoby z nich, że Prak Khan nie zabijał; torturował, bo musiał, że gdyby tego nie robił, czekała go śmierć, że czasem żeby żyć, trzeba zabijać, że czasem śmierć zwycięża miłość, że świat jest niesprawiedliwy, ale jest, jak jest.

Miałem teraz napisać: nieprawda. Ale nie napiszę.

Spoglądając na uśmiechniętych Khmerów, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że mogliby przemienić się w okrutne bestie. Te życzliwe, buddyjskie buzie, azjatycki spokój, opanowanie. A z drugiej strony niepojęty kontrast - niekończące się mordobicia na ekranach telewizorów, krwawa historia, najbrutalniejsze tortury.

Patrząc na niego, nie mam z tym problemu. To ten typ człowieka, u którego metamorfoza następuje błyskawicznie – uśmiechnięte usta i rozedrgane rowki na policzkach zastygają w kamień.

Prak Khan ma ciemną skórę, szklane, żbicze oczy i usta fioletowe jak śliwki węgierki.

**Trzeba zacząć od tego, że przed Czerwonymi Khmerami było lepiej niż teraz.** Tak mówi Prak Khan. Kambodża wyswobodziła się od Francuzów, król Sihanouk zaczął modernizować kraj, pojawiły się nawozy, maszyny, samochody, gazety, pralki, banki, szkoły, uniwersytety, restauracje.

Zanim zaczęła się zawierucha w roku siedemdziesiątym, zamach stanu Lon Nola i naloty Amerykanów, się żyło, mimo, że się było uczniem w prowincji Takeo (około 60 kilometrów od Phnom Penh), a w domu było jeszcze pięcioro rodzeństwa. Nie było kolorowo, ale się żyło.

Po drugie, podkreślić trzeba, że w tychże latach siedemdziesiątych zrobiło się już w Kambodży tak niebezpiecznie, że nawet prawdziwy mężczyzna nie boi się przyznać do strachu.

Jak wspomniano, króla Sihanouka obalił jego dotychczasowy podwładny, generał Lon Nol - człowiek w nadmiarze brutalny i bezwzględny. Mówiono, że to robota CIA.

Otóż trwała wtedy wojna wietnamska, Amerykanie wykrwawiali czerwonych Wietnamczyków z północy, wykrwawiając przy tym siebie. Nie dość, że przez Kambodżę przechodził legendarny szlak Ho Szi Minha, którym transportowano zaopatrzenie dla komunistycznego, wietnamskiego Vietcongu, to na samej khmerskiej ziemi zaczęły się plenić przywiezione przez Pol Pot'a z paryskiej Sorbony teorie

marksistowskie przystrojone w azjatycki, słomiany kapelusz. Dlatego prawicowy Lon Nol jawił się idealnym kandydatem do tępienia czerwonej zarazy, stąd otrzymał pełne wsparcie i doradztwo Amerykanów. W końcu na tereny Kambodży zaczęły się zapuszczać oddziały Vietcongu. I tego już było za wiele.

W Pentagonie zapadła decyzja: operacja „Śniadanie”. Na Kambodżę spada około dwa i pół miliona ton bomb, zabijając od 100 000 – 600 000 ludzi (olbrzymie rozbieżności w szacunkach).

Dlatego gwoli ścisłości: lepiej niż teraz było jeszcze przed Lon Nolem, bo za niego to sama korupcja, niesprawiedliwości, dysproporcje, grabież, wojna, jedni bogaci jak jacyś maharadże, inni biedni jak zawsze.

A Amerykanie byli coraz bliżej stolicy, chcąc zdławić raz na zawsze Czerwonych Khmerów, którzy jeździli po wsiach, tworzyli jednostki złożone z młodzieży, komuny rolnicze i obiecywali przegonić amerykańskich szatanów i khmerskich zdrajców na czele z Lon Nolem. Obiecywali nowe, sprawiedliwe życie bez panów, złodziei, bogaczy i wyzyskiwaczy. Jeśli nie oni, to kto? Mało tego, do wspierania Khmer Rouge nawoływał z zagranicy sam król, wzywając przez Radio Bejing: „Bracia i siostry! Idźcie do dżungli i dołączcie do partyzantów!” Jak już sam król wzywa do poparcia Khmer Rouge, to.

Prakh Kan dołączył do nowej komuny rolniczej, gdzie produkowano żywność dla wojsk Khmer Rouge. A co do Amerykanów miał dołączyć?

Potem wszystko zaczęło się dziać tak szybko, że trudno to ogarnąć.

Trzeba by zacząć od tego, że w komunie brakowało jedzenia. Prak Khan przeniósł się w okolice Phnom Penh, bo tam go nie brakowało i nie cierpiano głodu.

Armia potrzebowała ludzi. Wcielono go do 138 jednostki artyleryjskiej, 12 dywizja, pluton 56.

Niedługo potem przyszedł pamiętny kwiecień 1975 roku - skwar i jak to w porze suchej słońce wylewające się wrzątkiem we wszystkie zakamarki. Armia ruszyła z impetem w kierunku stolicy. Prak jechał na ciężarówce w oddziale który zatrzymał się na rogatkach miasta, więc pamiętnego 17 kwietnia nie wjechał zwycięsko do miasta, ale chłopaki opowiadali jak było: „Niebo tak czyste, że słońce przeglądało się w lufach i blachach czołgów; my na czołgach, a całe miasto wiwatuje, lecą na nas kwiaty, dzieciaki gonią za nami, wskakują na czołgi, ludzie machają białymi flagami i krzyczą: „koniec wojny! Koniec wojny!, zwyciężyliśmy!”

To był dzień. Nie ma Amerykanów, niebo jest piękne, bez samolotów; nie ma zdrajcy Lon Nola. Teraz będzie inaczej.

Skończyła się wojna i Prak Khana znów przywrócono do pracy w polu.

Teraz rządzą Czerwoni Khmerowie. Pewnego dnia ktoś przyjeżdża do wioski i składa Prak Khanowi ofertę nie do odrzucenia: - zawijaj się, chcesz dobrą fuchę? Możesz pracować jako ochroniarz w ambasadzie Khmer Rouge za granicą.

Prak Khan spakował się i pojechał do Phnom Penh.

Tam obserwuje coś dziwnego. Coś bardzo dziwnego, coś, co sprawia, że nawet prawdziwy mężczyzna nie boi się przyznać do strachu. Stolica jest miastem duchów, w którym nie ma ani jednego mieszkańca. Dwa miliony ludzi zniknęło. Wyparowało.

Dowiaduje się, że 17 kwietnia 1975 roku został ogłoszony w Kambodży rokiem zero, że już nigdy nie będzie jak dawniej, że nie może być, bo jedyną drogą do szczęścia, prawa i sprawiedliwości jest oczyszczenia społeczeństwa, że uczynić to można tylko do końca eliminując wrogów najwyższej Organizacji – Anga, że aby zacząć budować od nowa, trzeba zerwać z wszystkim, co może się kojarzyć ze starym, zepsutym światem, że już zrobiły to Chiny i widać efekty, że nie ma wyjścia, że nie ma w nowym świecie miejsca na nawozy, maszyny, samochody, gazety, pralki, banki, szkoły, uniwersytety, restauracje, że ludzi podzielono na kategorie, na przykład ludzi bazowych – chłopów od zawsze mieszkających na wsi i nowych - z miasta których należy reedukować na chłopów, zdrową część społeczeństwa, dlatego też wszyscy ludzie opuścili miasta, by pracować we wzorowych komunach rolniczych nie tylko w polu ale i w pierwszej kolejności nad sobą, że będzie teraz wreszcie sprawiedliwość, po równo, co moje to twoje, co twoje to moje, wyzbędziemy się egoizmu, obłudy, chciwości i na khmerskiej ziemi zbudujemy coś, czego będzie na zazdrości splugawiony nieładem świat. Rozumiesz?

Prak Khan nie wyjechał za granicę; został w Phnom Penh.

Dlaczego? Kto to wie? Lepiej nie zadawać za dużo pytań. Było jak było i jest jak jest.

Zostaje ochroniarzem budynku otoczonego szczelnie murem i drucianą siatką. Stoi i patrzy tępo w miasto po którym hula wiatr i furkocą puste kartony.

Po miesiącu orientuje się, że to nie może być ambasada, przecież nie jest idiotą. A widział kto kiedy, żeby do ambasady przywozili ciężarówki z całymi rodzinami w kajdanach i popędzali do przodu kopem w plecy? W takich chwilach nawet prawdziwy.

To więzienie. Przełożeni uczą Prak Khana co robić ze zdrajcami rewolucji. Po wyładowaniu ciężarówki, bierze się ich do budynku, kajdankuje wszystkich do końca, przewiązuje przez oczy opaskę i prowadzi do cel.

Kolejne pięć miesięcy stoi na zewnątrz. Pada rozkaz: „Pójdiesz do środka”. Po pierwsze to rozkaz, po drugie co to za różnica, czy w środku czy na zewnątrz, może prócz tej, że w środku więcej cienia, a na zewnątrz słońce pali jak nagła śmierć, a do tego człowiek zaczyna się rozkładać - rana po bitwie z wojskiem Lon Nola ropieje w tropikalnej wilgoci, przestaje widzieć na jedno oko, furkotające kartony mieniają się w oczach, nogi jak z waty, wreszcie każdy oddech to jednostkowe, coraz trudniejsze zadanie.

Prak Khan zachorował wtedy na beri-beri, skrajny rodzaj awitaminozy, występujący często u ludzi odżywiających się wyłącznie białym, łuskanym ryżem.

Jeśli ktoś ma oczy, w mig zorientuje się, że to więzienie polityczne, tajne. Jeśli człowiek pilnuje budynku miesiąc i się nie orientuje, że to więzienie, to musi

być tajne. S21 – od słowa Santebal, zbitki dwóch kolejnych – *santisuk* - policja i *norkorbal* - bezpieczeństwo.

Dostaje rozkaz: „Teraz będziesz przesłuchiwał wrogów rewolucji”

W środku wokół dużego placu znajdują się cztery, trzykondygnacyjne budynki: A, B, C i D, wszystkie szczelnie przykryte drucianą siatką, by uniemożliwić więźniom skok i popełnienie samobójstwa.

Na początku nie było żadnego treningu; tu wszyscy uczą się przez praktykę, miesiąc, dwa podpatrując doświadczonych katów.

**Wstaje się wczesnie rano, potem apel, wznosi się flagę nowej Kampuczy**, 300 mężczyzn ustawia się w rząd i odśpiewuje hymn.

*Jasna, czerwona krew,  
Która pokrywa miasta i równiny  
Krew Kampuczy, naszej matki  
[...]  
17 kwietnia, pod flagą rewolucji,  
Wyzwolenie!  
[...]*

Potem się idzie na stołówkę, mijając napis nad drzwiami: „Umocnij ducha rewolucji! Broń kraj, jego lud i partię przed strategią i taktyką wroga!”

Na śniadanie, podczas którego z głośników trzeszczą rewolucyjne pieśni, dają zwykle owsiankę z ryżu.

Plan dnia: trzy godziny przesłuchań lub tortur do południa, przerwa, cztery godziny po południu, przerwa i jeszcze trzy do dziesiątej wieczór. Kaci podzieleni się na trzy jednostki:

„zimna”, „gorąca” i „przezuwająca”. Pierwsza zajmuje się najmniej wartościowymi więźniami, druga tymi ważniejszymi, którzy mogą posiadać cenne informacje. W ręce ostatniej, specjalnej wpadają najbardziej niepokorni. Prak Khan należy do grupy „przezuwającej.”

3 września 1976 r. Prak Khan przesłuchuje pierwszego w swoim życiu człowieka. Trzeba zadawać takie pytania:

- Skąd jesteś?
- Kiedy dołączyłeś do rewolucji?
- Ilu twoich bliskich jest zaangażowanych w politykę?

Od pewnego momentu odbywają się spotkania w ramach „szkoły politycznej”, podczas której komendant obozu wyklada zasady przesłuchań i tortur z 42-stronicowego podręcznika, obowiązującego całą kadrę.

Najpierw trzeba ofiarę zmiękczyć np. mówisz, że jak będzie współpracować, dostanie pocztę od dziewczyny (nie musi być to prawda). Jeśli jest oporny, trzeba zastraszyć, np. mówiąc, że jego/jej przyjaciel sypie jak z nut. Strach de facto ma im towarzyszyć od samego początku, jeszcze zanim przekroczą mury S 21. Pamiętajcie, że strach przed przemocą i bólem jest gorszy niż sam ból i przemoc, nawet brutalna. Dlatego więźniowie długo czekają na przesłuchanie, które się odkłada z dnia na dzień. W tym czasie słuchają w celach wrzasków torturowanych. Działają. Przychodzą mięciutcy.

Oczywiście są wyjątki. Wtedy trzeba zwrócić się do komendanta o pisemne pozwolenie na tortury. Na zajęciach wszystko pokazywane jest jak na dłoni: bicie, przypalanie papierosem, plastikowy worek na głowę, bicze, karmienie odchodami,

młotek, siekiera, wrywanie paznokci, krzesło elektryczne, inne.

Duch mówił – „nie możemy ich zabić, bo zabić można człowieka, a oni nie są ludźmi. To wrogowie. Wrogów się nie zabija. Wrogów się eliminuje.

W podręczniku pisze jak wołami:

„Nie robimy tego dla zabawy. Musisz skrzywdzić ich tak, by odpowiadali natychmiast. Kolejnym celem jest złamanie ich woli. Nie robimy tego ani dla samo satysfakcji ani jako wyraz indywidualnej agresji. Bijemy ich, by ich wystraszyć, nie żeby zabić”. Jasne?

Regulamin obowiązuje też samych więźniów:

1. Musisz odpowiadać zgodnie z moimi pytaniami. Nie odwracaj ich.
2. Nie próbuj ukrywać faktów wymówkami to i tamto, masz jasno zabronione sprzeczać się ze mną.
3. Nie bądź głupcem bo jesteś typkiem, który śmiał stać na przeszkodzie rewolucji.
4. Musisz natychmiast odpowiadać na moje pytania bez marnowania czasu na namyślanie się.
5. Nie mów mi ani o swoich niemoralnościach ani o istocie rewolucji.
6. Podczas chłosty lub porażania prądem nie możesz krzyczeć.
7. Nie rób nic, siedź w miejscu i czekaj na moje rozkazy. Jeśli nie ma żadnych rozkazów bądź cicho. Kiedy każę ci coś zrobić masz to zrobić od razu, bez protestów.

8. Nie wymawiaj się Kampuchea Krom w celu ukrycia sekretu lub zdrajcy.

9. Jeśli nie przestrzegasz wszystkich powyższych reguł dostaniesz wiele, wiele batów przewodem elektrycznym.

10. Jeśli sprzeciwiasz się któremukolwiek z punktów moich regulacji dostaniesz dziesięć batów lub pięć porażań prąd.

W S 21 mieści się na raz około 1500 więźniów. Zanim Prak Khan zaczyna przesłuchanie, idzie po więźnia, oznaczonego numerem. Wywołuje: winny numer 37, rząd 12, cela 4, budynek C.

Mężczyźni leżą nieruchomo po 18 na celę w dwóch rzędach przykuci za nogi do metalowej rury w przy podłodze. Kobiety siedzą osobno. Dzieci są od razu eliminowane jako niepotrzebny balast.

Ostatnio jeden z katów zrzucił z balkonu osiem miesięcznych dzieci i nie mógł sobie wybrać do ich zakopaniana kogo innego, tylko właśnie Prak Khana.

Do więźniów chodzi się też podać posiłek, dwie łyżki rozwodnionego ryżu dziennie, w związku z czym trzeba też wymieniać pojemnik na ekstrementy – starą, amerykańską puszkę na nabojach.

Albo przypilnowac. Mimo, że Angka wydała walkę drogom, poczcie, telefonom, elektryczności, a kraj tonie w lepkiej ciemności, S 21 jest jednym z niewielu miejsc w Kambodży oświetlonych 24 godziny na dobę ostrym, jarzeniowym światłem, przyciągającym chmary insektów, które starają się złapać i

zjeść więźniowie. Wtedy należy ich bić po głowie gumowym sandałem.

Pozwolenie na tortury podpisuje komendant Duch. Przeróżający człowiek. Nosi taki sam czarny mundur jak wszyscy, ale można go poznać po długopisie w przedniej kieszeni, jedynym symbolu jego rangi. Poza tym na głowie nosi zieloną czapkę w stylu Mao, na szyi luzem kramę – czarno, białą chustę, pod pachą ciągle nosi jakieś papiery, na stopach czarne sandały wycięte z opony i pali jeden papieros za drugim; nigdy nie dopala do końca, gasi w połowie i odpala następnego. Pali Kotaby, papierosy zarezerwowane dla wyższych rangą. Reszta kadry pali Klok albo Bayon bez filtra albo dopala kiepy po Duchu.

Straszny to człowiek i strach mu spojrzeć w oczy.

Na jednym spotkaniu powiedział, że kadra może zostać w każdej chwili wyeliminowana, jeśli nie będzie posłusznie wykonywać rozkazów, eliminując zdrajców, które Angka z takim trudem znajduje wśród nowego społeczeństwa. Zasada jest więc prosta: kto nie eliminuje wroga, sam zostaje wyeliminowany.

To straszny człowiek. Podobno był kiedyś lubianym nauczycielem matematyki, ale lepiej nie pytać.

W S 21 było setki takich młodych chłopców jak Prak Khan, w tych samych uniformach, z podobną przeszłością, dobieranych według klucza – z prowincji, niedoedukowanych, silnych fizycznie, łatwych do idoktrynacji, którzy przez cztery lata robili to samo: przesłuchiwali, torturowali, chodzili na te same wykłady do Ducha, zabijali.

Byłby to koniec opowieści, bo w S 21 nie ma miejsca na czyny

bohaterskie, brawurowe ucieczki, podkopy, bunty i podwórkowe, kacetowskie kapele, chyba że za takie uznamy wywołane brakiem jakiegokolwiek nadziei i wiary w życie, Boga, świat i ludzi akty desperacji – ktoś podpalił się kerozyną, jakiś cudem skoczył z piętra albo wbił sobie długopis w gardło podczas pisemnych zeznań.

Gdyby nie ONA.

**W pierwszym roku nowej ery i pierwszym roku dla Prak Khana jako członka jednostki przeżywającej,** do S 21 przywieziono kolejną grupę wrogów.

Prak Khan dostaje rozpisę przesłuchań, cele, numery. Idzie po kolejnego więźnia mijając celę jęczącą, następną płaczącą, kolejne z gangreną, cichą jak grób.

Staje pod kratami: cała litania cyfr, a końcu numer więźnia: 15. Podchodzi młoda dziewczyna, metr sześćdziesiąt wzrostu i tak piękna, że nie do opisanie. W S 21 przywożą zwykle kobiety stare, dziecięte, zameżne, a tu taki kwiat – czarne, gęste włosy za uszy, śniada, brzoskwiniowa skóra, kołnierzyk pod szyjką, dziecięca buzia, mały, lekko zadarty nasek jak u rezolutnej, wygadanej uczennicy i oczka jak migdałki, takie wystraszone i takie zagubione. W takich momentach nawet prawdziwemu mężczyźnie miękną nogi.

Ale to wróg. Wróg rewolucji. Wrogów trzeba eliminować, bo inaczej samemu zostanie się wyeliminowanym. To wróg. Wrogów trzeba eliminować. Tu nie ma miejsca na zabawę. To wróg.

Przesłuchanie. Ciemny pokój, na ścianie placki skrzepniętej krwi. Dziewczyna siedzi przy biurku na krześle z kajdankami na nogach. Koniec żartów.

Pytanie numer jeden:

- Dlaczego zostałeś aresztowana?
- Cisza.
- Dlaczego zostałeś aresztowana?!
  - głośniej.
- Nie wiem – dusi z siebie.

Prak Khan podchodzi do biurka i wali pięścią w blat.

To sprawdzona metoda. Wzbudzić strach i pokazać wrogowi, że jest taki malutki, sam, zamknięty, bezbronny i zdany na łaskę kata.

Chodzi po pomieszczeniu jak opętany, wpada w szal, krzyczy, grozi, bluździ. Nagle przestaje. Patrzy na dziewczynę. Jest cała mokra. Teraz spokojniej.

- Jak masz na imię?
- Nai Nan.
- Ile masz lat?
- 19.
- Gdzie wcześniej pracowałaś?
- W szpitalu P-98 pod Wat Phnom w centrum.
- Co tam robiłaś?
- Byłam pielęgniarką.
- Dla kogo szpiegowałaś? Kto był twoim szefem?

Cisza. Łzy.

- Błagam Cię, nie rób mi krzywdy.

Ja nic nie wiem.

Prak Khan po kilku dniach bezowocnych przesłuchań wysyła zapytanie do Ducha. Odpowiedź: „użyć mocniejszych środków”

Prak Khanowi chodzi po głowie to co powiedziała mu matka przed wojną „Synu, jeśli kiedyś znajdziesz się na wojnie, musisz być silny i zdeeterminowany. Nie możesz kraść. Masz być uczciwy i nie możesz uwodzić córek i żon innych mężczyzn.”

Kolejne przesłuchanie. Podaje jej długopis:

- Pisz, co wiesz.
- Nai Nan bierze do ręki długopis i robi na papierze niezdarnie dziwną linię.
- Ty nie umiesz pisać?
- Nie.

Prak Khan chwyta długopis.

- Masz trzy opcje. Jesteś agentem CIA, KGB czy wietnamskim?

Wybiera CIA. Prak Khan zaczyna pisać:

”Należałam do jednostki sabotażowej, mój przełożony wysłał mnie z misją wypróżnienia się na ryż i fasole uprawianą obok toalet przy budynku, aby zruinować reputację modelowego szpitala wojskowego, w którym pracowałam. Przełożony następnie kazał mi wypróżnić się w sali operacyjnej”

Zapis moich rozmów z katem kończyłby się tak:

- Torturował ją Pan?
- Nie.
- Dlaczego?
- Zakochałem się w niej.
- Ożeniłby się Pan z nią?
- Tak.
- Powiedział Pan o tym wtedy komuś?
- Nie. Trzymałem to w sercu.
- A wierzył Pan, że ona może być szpiegiem?
- I tak i nie. Nie wierzyłem, ale musiałem wierzyć, bo by mnie zabili. Chciałem żyć.

Nai Nan wraca do celi. Słysząc prędkie kroki, niosące się echem po murach. Każdy coraz głośniejszy stukot jest jak wbijanie gwoźdźca w brzuch. Za kratami staje kat.

- Zawijaj się! Zawijają jej na oczy opaskę.

Skrzypią drzwi. Na ramieniu męskie dłonie, gdzieś ją prowadzą, podmuch powietrza, chyba już są na zewnątrz. Czy to dzień czy noc? Teraz stopnie do góry, potem pomieszczenie - jakby puste pod podłogą. Inni ludzie. Dużo ludzi. Smród, pot, ścisk. Zaczyna warczeć silnik. Pomieszczenie rusza. To ciężarówka. Turkot silnika odbija się tępo od budynków. Nie słychać innego dźwięku - jakby wóz płynął przez czarny kosmos. Kończy się szur kół o asfalt; ciężarówka kolebota się po dziurach, żwir obija się o blachy. Gdy kierowca zmienia bieg i silnik przestaje warczeć, słychać na zewnątrz mirady cykad. Jadą prosto. Nagle ostry, gwałtowny skręt w lewo - ludzie obijają się o siebie i ścianę. Kilka minut znów prosto. Zatrzymują się, gaśnie silnik. Wyprowadzają ich na zewnątrz. Powietrze jest lepkie, gęste, słodkawe. Prowadzą ją do pomieszczenia. Podłoga skrzypi jak drewno.

- Nie bójcie się! Teraz jedziecie do swoich nowych domów - ktoś ogłasza.

Włączają generator, który turkocze tak wściekle że można ogłuchnąć. Męska dłoń na ramieniu. Gdzieś prowadzi. Każę ukleknąć. Jedna sekunda, dwie, trzy, cztery. Potężne uderzenie w tył głowy. Słodko na języku.

W tej historii nie ma happy endu, bo te w życiu, inaczej niż w baśniach, zdarzają się o wiele rzadziej. Nie jestem w stanie sprawdzić, czy Nai Nan trafiła do swojego Nowego Domu i czy ten w ogóle istnieje.

Gdyby nie miała opaski na oczach, zapamiętałaby ten widok do końca życia. Zabito ją na polach śmierci Choeung Ek, 15 km za miastem, gdzie dokonywano

masowych egzekucji na więźniach S 21 i zakopywano ich ciała. Pracy katów pilnował często sam Duch, popędzając ich z papierosem w ustach. Khmerscy żołnierze wierzyli, że śmierć przyjdzie do nich pod postacią kobiety. Choeung Ek znane było w okolicy z wyjątkowej urody kobiet. Pusta ciężarówka wróciła do S 21.

Prak Khan został sam ze swoją przestrzenią: szare mury, druty, siatki, nad głową stalowe, równikowe niebo, budynki, cele, stołówka. Jak to mówili na lekcjach geografii, Battambang będzie na północ od Phnom Penh, czyli na lewo za budynkiem A, albo nie za B, Ban Lung, bardziej na wschód, czyli za białym budynkiem, jak w stronę Kompong Thom, gdzie dalej wielkie Chiny, pote Indie, zresztą nieważne. Może i oni zabraniają wyznawać buddyzm, ale ja tam wierzę w karmę - los, przeznaczenie, tak mówi Budda, JEST JAK JEST i nic nie zwojujesz. Może w następnym życiu będzie lepiej. Jeśli im nie dali rady Amerykanie, stoją za nimi wielkie Chiny, to kto im da radę? Nie wybierałem, nie dyskutuj, daj se spokój, nic tu nie poradzisz, taki jest żywot, taki będzie już zawsze świat; buntuj się, skakaj, na co ci to? Chcesz żyć? Siedz cicho. A może ja po prostu się boję? Może jestem tchórzem, mięczakiem, łajzą, lalusiem, mamisynkiem. A jeśli tak, to co? Moja wina? Moja wina?! A w ogóle to pieprzcie się, pieprzcie się wszyscy!!

Oczywiście nie mam pojęcia, czy tak myślał Prak Khan patrząc nocą w sufit ze swojej pryczy w S 21 czy teraz gdy jego dzieci już śpią i ma czas na myślenie i czy w ogóle mógłby to być on.

Ale to nie ma tu absolutnie najmniejszego znaczenia.

**W latach 1975-1979 podczas terroru Czerwonych Khmerów** pod wodzą wykształconego na paryskiej Sorbonie Pol Pota w trakcie szalonego eksperymentu społecznego zamordowano 2 z 7 mln-ego narodu, średnio 1466 dziennie. Biorąc pod uwagę procent unicestwionej populacji, ludobójstwo w Kambodży przewyższa łącznie Holocaust i rzeź w Rwandzie.

7 stycznia 1979 roku Wietnamczycy wyzwolili Phnom Penh w trakcie inwazji wywołanej konfliktem granicznym z Czerwonymi Khmerami, którzy dokonywali na ich terenie masowych czystek.

Prak Khan podczas ewakuacji uciekł z konwoju. Do północy leżał w polach trzciowych, by przeczekać ostrzeliwanie lotniska przez Wietnamczyków. Podjął nieudaną próbę przedostania się do obozów uchodźców w Tajlandii. Wrócił i pod Kompong Thom poddał się Wietnamczykom. Puścili go wolno. Po czterech latach powrócił do swojej wioski.

Razem z wojskiem wjechał do miasta duchów wietnamski fotoreporter Van Tay. Następnego dnia jadąc przez miasto zatrzyma się, zwabiony ciężką stęchlizną z jednego z budynków. Duch i jego podopieczni uciekając w panice zostawili dowody ludobójstwa: trupy, podręcznik i narzędzia tortur, tysiące fotografii więźniów, dokumenty, zeznania, w tym gruby plik zeznań Nai Nan podpisany przez Prak Khana, którego kopię w języku khmerskim trzymam teraz w ręku. Policzyłem: 70 stron.

Van Tay odkrył najpilniej strzeżony sekret Czerwonych Khmerów. W S 21, w budynku

byłego liceum zabito około 20 000 ludzi (rozbieżności w szacunkach). Ludzie Pol Pota organizowali więzienia w budynkach szkolnych albo świątyniach - stamtąd nie było słyhać na zewnątrz wrzasków katowanych i zabijanych.

Do 1976 roku więźniów S 21 zabijano na miejscu. Potem stęchły zapach trupów zrobił się nie do zniesienia i ludzi zaczęto wywozić do Choeung Ek, gdzie włączano generator by zagłuszyć krzyk zabijanych.

W świecie S 21 nie było miejsca na jakąkolwiek formę autoekspresji poza pokojem przesłuchań. Młoda kadra miała być „czysta, silna i zdeterminowana”, prowadzić zdyscyplinowane i ascetyczne życie. Małżeństwa były aranżowane przez Organizację, obsesyjnie pilnującej czystości. Seks pozamałżeński był zakazany i karany śmiercią.

Youk Chhang, dyrektor Centrum Dokumentacji Kambodży powiedział mi, że nie wykluczają, że Prak Khan gwałcił Nai Nan, co mimo surowych zakazów zdarzało się w S 21 często. Kat, młody chłopak, miał pełną władzę na swoją żeńską ofiarą.

Nic Dunlop brytyjski reporter, który również rozmawiał z Prak Khanem w swojej książce „The Lost Executioner” pisze, że Prak Khan wyznał innemu dziennikarzowi, że torturował Nai Nan.

Komendantem obozu był . Kang Kek Iew alias Duch (oryginalne khmerskie brzmienie), były, lubiany przez dzieci nauczyciel matematyki, który po 1979 roku zniknął na dwadzieścia lat. Zmienił nazwisko na Hang Pin, pracował dla nieświadomych jego przeszłości Amerykanów w obozie dla uchodźców w Tajlandii w

organizacji American Refuge Comitee z opinią wzorowego pracownika. Nawrócił się, został baptysta, w końcu pastorem, gorliwie nawracającym kolejne osoby. W 1998 roku z jego fotografią w tylnej kieszeni znalazł go Nic Dunlop, od lat ogarnięty obsesją jego poszukiwań, ujawniając go opinii publicznej i doprowadzając do jego aresztowania.

Z S 21 ocalała jedynie garstka więźniów, która uciekła katom w trakcie inwazji Wietnamczyków.

Jednego z nich - Ung Pecha, wysłano na początku lat osiemdziesiątych do Polski, gdzie w Oświęcimiu podpatrywał jak zorganizować muzeum ludobójstwa. Został jego pierwszym dyrektorem. Muzeum powstało w budynku byłej katowni.

Na ścianach wiszą obrazy jednego z ocalałych - Van Natha - ilustrujące tortury i tysiące fotografii ofiar. Duch wierzył, że przypisanie numeru zdehumanizuje ofiarę w oczach kata, a sfotografowanie więźnia ułatwi pościg w razie ucieczki, że pstryknięcie i zamknięcie samotnego człowieka w ramce jest jak wyrok: winny. Kadra zawsze fotografowała się w grupie. Dalej narzędzia tortur, metalowe prycze, puszki na odchody, olbrzymia mapa Kambodży ułożona z 300 czaszek i kości ofiar.

Siedzę przy zielonym trawniku na ławce przy podwórzu muzeum. Kiedyś biegali tu uczniowie w czasie szkolnych przerw. Potem prowadzono tędy więźniów z opaskami na oczach, teraz małe dzieci jeżdżą na rowerach, spacerują tłumy turystów, którzy wieczorem obejrzą o 19 w jednym z backpackarskich hosteli „Pola

śmierci” albo pojedą postrzelać za miasto na Shooting Rage z AK 47.

W koronie drzew chowają się roje ptaków. Podchodzę. Patrzą się jakoś po ludzku i nagle w popłochu odfruwają na drugie drzewo.

**Kilka lat temu do domu Prak Khana przyjechali ludzie z Centrum Dokumentacji Kambodży,** zbierający dowody

zbrodni sprzed trzydziestu lat. Zapukali do drzwi i się przedstawili. Prak Khan wiedział po co przyjechali. W takich chwilach.

Z początku się nie przyznawał, utrzymując, że cały ten okres spędził ciężko chory w stołecznym w szpitalu. Że nic nie wie. Ale dowody są miażdżące.

53 zeznania więźniów podpisane przez Prak Khan jako przesłuchujący. W 1976 przez jego ręce przeszło 5 ofiar, w 1977 dziesięć, w 1978 – 35, w 1979 zdążył przesłuchać tylko jedną osobę. 23 osoby to wysocy rangą kamradzi Khmer Rouge, 15 wojskowych, jedenastu ludzi z administracji, kolejne dwie podejrzane o szpiegostwo. 42 Khmerów, pięciu z mniejszości etnicznej Phnong, dwóch Chińczyków, jeden Muzułmanin, jeden Wietnamczyk. Ostatnie przesłuchanie: 4 lipca 1979, trzy dni przed inwazją Wietnamczyków.

Od 2006 roku pracuje w Phnom Penh trybunał ds. Zbrodni Czerwonych Khmerów, napędzany dowodami zbieranymi mozolnie przez Centrum Dokumentacji Kambodży.

Prak Khan w eleganckim garniturze i słuchawkach na uszach zeznawał podczas procesu Ducha, (wyrok zapadnie na początku 2010 roku). Sędziowie podważyli jego wiarygodność,

zarzucając mu sprzeczność zeznań i sugerowanie się zeznaniami innych świadków. W czasie jego wypowiedzi opisującej praktyki masowego pobierania krwi od więźniów dla szpitali wojskowych, Duch zareagował: - To wszystko sfabrykowana nieprawda! Sędzia przywołał Ducha do porządku. Zadał też pytanie Prak Khanowi: - Czy traktował Pan ludzi jak zwierzęta? Rozumiem, że zanim trafił Pan do S 21 nie postępował Pan z nimi w ten sposób? Milczał.

Prak Khan boi się, że kiedyś sam zasiądzie w ławie oskarżonych i zostanie ukarany.

Zgodził się wystąpić w filmie dokumentalnym khmerskiego reżysera Rithi Panha „S 21: Killing Machine”, gdzie demonstrował techniki tortur i rozmawiał z ocalałymi ofiarami

Kiedyś zabrano go do Choeung Ek, obecnie kolejnego muzeum ludobójstwa. Stanął przed wysoką stupą w której znajduje się 8 tysięcy czaszek zabitych tu ludzi. Jedną z nich należała do Nai Nan. Rozpłakał się. Mówi, że był w szoku i nigdy o tym nie wiedział.

Nie wiem czy jest osoba, która potrafi przekonywująco odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to wszystko się zdarzyło. W języku khmerskim lepiej nie pytać: dlaczego?

W jedynym kraju na świecie, w którym wielka rzeka raz w roku zmienia kierunek biegu – zawraca, może zdarzyć się wszystko.

Kiedyś zapytałem pracownika Centrum Dokumentacji Kambodży, czy zna jakąś ofiarę terroru, która skłonna by była się ze mną spotkać i porozmawiać. Spojrzał bardzo wymownie. – Idź na ulicę, tu

dziewięć na dziesięć osób powyżej czterdziestki to przeżyła. Zaczep taksówkarza, handlarza, kogokolwiek.

Zapłaciłem Prak Khanowi za wywiad 20 dolarów. Wstał, założył na głowę kask, zsunął na oczy szybkę i zjechał między ludzi.

Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czy podałem mu rękę. Chyba tak.